

Kronika tygodniowa.

Powiedział swojego czasu jakiś polityk i to podobno pierwszej marki, że obecna wojna światowa tam się ma skończyć, gdzie się zaczęła, to jest na Bałkanie. Ponieważ zaś obecnie rozpoczęła się tam rzeczywiście austriacka ofenzywa i to ze skutkiem zupełnie dodatnim, oczy wszystkich wytrzeszczono są w tamtą stronę i, kto wie, czy nie spełni się przepowiednia owego wróżbity, który wyznaczył dzień jedenastego listopada, jako ostateczny i nie odwołalny termin ukończenia wojennych kroków.

Czy się znów nie omyli, tego powiedzieć jeszcze niepodobna, w każdym razie stwierdzić się musi, że chyba nie znajdzie się nikt między nami, ktoby był temu przeciwny, tak nam się już cały ten interes dał we znaki.

Dziś każdy polityk, czy on jest zawodowy, czy też tylko tak zwany knajpkowy, rozprawia o tem, co robi Bułgaria, co myśli Grecja, za kim się oświadczy Rumunia? Jednem słowem o reszcie Europy zapomniano, a na tapecie jest tylko Bałkan. Król Nykita z Czarnogórza na razie przycichnął i nie puszcza pary, a choć znajduje się na wojennej stopie z większą częścią Europy, ma zamiar zabawić się w onego nietoperza z bajki i czeka, na którą stronę przechylą się stanowczo zwycięstwo. Za zwycięzcami i on się wówczas oświadczy, bo to dopiero nazywa się polityką realną, gdy ktoś potrafi należycie skorzystać z nadarzającej się sposobności.

A królowi Nykicie wszystko jedno, w jakiej mu płacą walucie. Bardzo chętnie bierze korony i ruble, nie gardzi frankami i funtami szterlingami, bo jego dewiza: „Głupi, kto nie bierze, gdy są tacy, co dają“.

Nikt się też z nim i jego rządem nie liczy, bardzo rzadko znajdziesz o nich wspomnienie w którymś z pism politycznych, częściej już w humorystycznych, zwłaszcza niemieckich, gdyż nasze, z wyjątkiem „Bociana“, na czas wojny zawiesiły wydawnictwo na kołku, a współpracowników wysłały do rowów strzeleckich.

Czwórsojusz ma jednak, jak z tonu artykułów widać, bardzo rzadką minę. Ostatnie wydarzenia na Bałkanie, zwłaszcza zaś mobilizacja Bułgarii i wycoekujące stanowisko Grecji zdenerwowały nawet flegmatycznych synów Albionu, którzy widzą, że zaczynają coraz bardziej tracić grunt pod nogami. Francuzi nadrabiają miną, choć widzą, że sytuacja dla nich coraz trudniejsza, Włosi idą w ich ślady, Rosya skrobie się w to miejsce, które w czasie obecnej austriacko-niemieckiej ofenzywy w Królestwie Polskiem mocno ucierpiało.

Słowem kłapa i to kłapa ogólna na całej linii.

A tyle tym królikom z Bałkanu naobiecowano! Paryż, Londyn i Petersburg szły w tym kierunku w zawody, przeznaczając temu to, tamtemu owo, było to jednak ofiarowywanie kawałków baraniej skóry, gdy baran był jeszcze żywy. Aczkolwiek więc każdy z obdarowanych wzięby chętnie, nawet więcej, niż mu dają, widząc, że obietnice mogą się nie spełnić, woli czekać, jak to zrobił, choć nie neutralny, władca Czarnogórza.

Tego się zaś czwórsojusz nie spodziewał! Tam myślano, że, gdy tylko coś się obieca, wszystko pójdzie za nim, jak barany, pokazało się przecie, że nawet bałkańscy politycy mają głowy nie tylko od parady i noszenia kapeluszy.

Najżałośniejsz kłwi król Piotr serbski, widzi bowiem, że zbliża się wielkimi krokami chwila, kiedy przyjdzie się rozstać z ukochanym tronem i woła ratunku. A ci, którzy go do wojny popchnęli, powiadają:

— Poczekaj, kotku! Zaraz idziemy ci na pomoc, ale i nam lepiej się nie dzieje!..

Wszystkim zaś razem w kupę brakuje monety, a bez niej, jak każdy wie, nikt wojny prowadzić nie potrafi. Nawet rosyjski minister skarbu, Bark, który wybrał się w podróż po przyjaciółach politycznych po kweście, ogłasza w „Birżewyja Wiedomosti“, że operacje finansowe w Anglii nie wypadły zadowalniająco. Pożyczka przyszła wprawdzie do skutku, lecz nie odpowiada życzeniom Rosyi.

Ale bo i Anglicy też nie mają pieniędzy, nadzieja zaś zaciągnięcia pożyczki w Ameryce maleje z dniem każdym. Stany Zjednoczone dałyby chętnie, ale tylko na bardzo pewną hipotekę, a tu tymczasem mocarstwa centralne postępują coraz dalej i to we wszystkich kierunkach, na wschód, zachód i południe. Finansiści zaś z Oceanu nie głupi ryzykować swe kapitały, oni na wszystko zapatrują się czysto po kupiecku.

Tego rodzaju rozmowy toczą się po naszych

knajpkach i kawiarniach, każdy zaś krakowski lokal publiczny zastępuje inny kierunek polityczny i inną polityczną orientację. Czasem wysyła się stałych gości „z pod Obrazu“ „pod Palmę“, aby tam zasięgnęli języka, dzieje się także i odwrotnie, wymiana bowiem myśli jest, zwłaszcza teraz, gdy sytuacja staje się coraz poważniejszą, konieczna.

Dziś dopiero widzą wszyscy, gdy rok wojny już minął, jak fałszywie twierdzili swojego czasu, że wszystko musi się skończyć, jeśli nie za sześć tygodni, to najwyżej za dwa miesiące, gdyż trzech nikt nie wytrzyma. Potem powiedziano, że zima przeszkodzi operacyom wojennym i zmusi strony walczące do zawarcia pokoju, przekonano się jednak, że wiosna i lato nastąpiły, a końca jeszcze niema!

Nasi politycy nie tracą jednak mimo to fantazyi. Jeden z nich, gdy roztrząsał wspólnie z nim sytuację i zwrócił na to jego uwagę, rzekł:

— Ja tam, łaskawco, chociaż nie ubijałem się o to, że wojna musi się przed zimą skończyć, dziś widzę, że ci, którzy tak mówili, byli w błędzie. Twierdzą jednak, że, zanim druga zima nastanie, będzie po wojnie. Gotów jestem założyć się nawet o to! Ile pan stawia?

— Nic! I to z wiadomych panu powodów...

— A ja gotów jestem dać swą głowę!

— Hm! Przedmiot zbyt mało wartościowy...

Popatrzył na mnie okiem bazyliuszka, któremu słon nadeptał na ogon (darujcie Czytelnicy, że tak często używam tego porównania, ale ono mi się ogromnie podoba. Wyobrażam sobie minę tego biednego stworzenia i szczerze z niem współczuję, aczkolwiek sam ogona nie posiadam), poprawił cylinder na głowie i poszedł dalej.

Bo trzeba wiedzieć, że, właśnie z powodu wojny, zaczyna wchodzić w modę noszenie cylindrów, jako stosunkowo najtańszego nakrycia głowy, którego można używać w każdej porze roku.

I ja przypomniałem sobie, że mam w domu jeden egzemplarz, jeszcze z przed lat trzydziestu, postanowiłem przeto otrześć go z pyłu zapomnienia, dać odprasować i ozdobić nim swą głowę, zwłaszcza, że zawiązuje się nawet w Krakowie klub cylindrowców. Statuty podano już do zatwierdzenia.

Pokazało się jednak, że nic z tego nie będzie, cylinder mój obrócił bowiem gospodarza Weronisia na cel praktyczny i używa go od lat kilku do przechowywania jaj, które, zwłaszcza teraz, poszły ogromnie w górę. Szóstkę trzeba zapłacić za jedną sztukę i to, chcąc ją nabyć, musi się iść na targ skoro świt, inaczej wszystko rozkupią. Nic też dziwnego, że z tak cennym przedmiotem, jakim jest obecnie jajo, obchodzi się każdy bardzo delikatnie, by się przypadkiem nie rozbił.

Wobec tego i ja nie zgniewałem się wcale (choć, prawdę mówiąc, nie na wiele byłoby się to zdało, gdyż zarządzenia Weronisi, o ile dotyczą gospodarstwa domowego, są bez rekursu), do klubu cylindrowców zaś mogę należeć tylko jako członek honorowy, to jest taki, który chodzi w zwykłym kapeluszu lub czapce.

Skoro wspominałem już o jajkach, sądzę, że nie będzie od rzeczy, jeśli zastanowię się nad tem, co jest powodem takiej ich drożyzny.

Informowałem się w biurze aprowizacyjnym magistratu i w komisaryacie targowym, powiedziano mi, że brak dowozu.

Mnie się jednak zdaje, że tak nie jest. Właściwego powodu szukać należy w ruchu strejkowym między kurami (bo i one dziś umieją już strejkować!), a jest to odpowiedź na represalia, jakie wobec kurzego rodu zastosował magistrat, każąc te niewinne stworzenia więzić w kojach ze względu na zdrowotność miasta i publiczną moralność, wiadomo bowiem, że koguty są bardzo kochliwe i nic sobie z tego nie robią, czy patrzy kto na nie, czy też nie.

Ze zaś władza nasza autonomiczna wzięła się do tego bardzo energicznie, dowodem wyrok, który czytałem na własne oczy. Powiada on, że pani X. Y., właścicielka dwu kur, które wbrew rozporządzeniu spacerowały sobie samopas po podwórzu, skazana zostaje na zapłacenie dziesięciu koron grzywny, ewentualnie na odsiedzenie dziesięciu godzin w areszcie miejskim przy ulicy Skawińskiej.

— I cóż państwo na to? — pytam oboje małżonków, gdy się przyszl przedemną użalić.

— Ano nic! — odparł mąż, jako głowa domu. — Kury obie ze złości zjedliśmy w niedzielę, teraz trzeba płacić, albo siedzieć. Gdyby to jeszcze mnie skazano, wiedziałbym, co robić... Ale żonę!

— A cóżby pan zrobił?

— Ja, kochany panie, zgłosiłbym się w magistracie z oświadczeniem, że przyjmuję karę i pragnę owe dziesięć godzin odsiedzieć, proszę jednak, by mi je na dziesięć rat po godzinie rozłożono. Co-

dziennie przyjdę sobie do aresztu na drzemkę poobiednią... Ponieważ zaś uznano żonę za właścicielkę kur i ją skazano, wobec tego wnoszę tylko rekurs, gdyby go zaś nie uwzględniono, proszę o odpisanie kary w drodze łaski, obiecując, że nigdy już kur trzymać w domu nie będę...

Otóż tutaj właśnie leży powód, dlaczego kury jaj znosić nie chcą! Powiedziały sobie: Skoro magistrat tak po drakońsku postępuje sobie z nami, przestajemy jaja nieść! Ciekawe jesteśmy, co teraz zrobi zarząd miasta?... Chyba sam zacznie się tem zajmować, jeśli będzie chciał jeść jajecznice!

A kury są z natury bardzo uparte, nic też dziwnego, że konsekwentnie przeprowadzają plan swej zemsty i próżnują, a my narzekamy niesłusznie na nie, bo winę ponosi tylko magistrat, a właściwie referent, który wydał tego rodzaju rozporządzenie.

Kłopotów mamy wogóle aż za dużo i to na każdym kroku, w domu i poza domem.

W domu żona zła, niczego bowiem na targu dokupić się nie można, w knajpie drogo, że po prostu przechodzi to ludzkie wyobrażenie. Niedługo dojdzie do tego, że za samo popatrzenie się na kawaleczek kiełbasy trzeba będzie zapłacić co najmniej szóstkę, za powąchanie dwie, kawałek zaś, tak zwany „na widelec“ (dawniej pięć centów), kosztować musi trzy szóstki!

I żyj tu, gdy dochody nie wzrosły, raczej zmalały.

Od czasu, jak zaprowadzono taryfę maksymalną, według której nikt nie chce sprzedawać i wydaje się coraz to nowsze i „poprawniejsze“ jej edycje, wszystkie nasze gospodynie chodzą, jak strute. — Moja Weronisia także, bo i ona jest kobietą. Zdeenerwowana babina, że trudno ją poznać, a popędliwa, że pozał się Boże! Lada słowo może ją z równowagi wyprowadzić. O mały figiel nie rzuciła wczoraj za mną lampą, gdy się ośmielił powiedzieć, że ciasto na pierogach zbyt czarne.

— A ja co temu winna? — zawołała, głosem o oktawę wyższym, niż zazwyczaj, co jest już bardzo złym znakiem.

— Wszak jesteś gospodynią domu! — ja jej na to.

— Gospodynią... gospodynią! — przedrzeźniała. — I na czym tu gospodarować, gdy pan literat goły, jak święty turecki!... Wszystko trzeba kupować w sklepiu na centy... Daj mi tysiąc koron, to ja już będę wiedziała, jakie porobić zapasy...

— No, a gdybym tak rzeczywiście dał?... Gdzie kupisz?

— A widzisz! I jeszcze urągasz, aby mi dokuczyć!

— Bo twierdzą, że te pierogi są do niczego...

— To nie jedź!

— Daj mi co innego, to jeść ich nie będę!

— Daj pieniędzy!... Myślisz tylko, jak dogodzić swemu „maćkowi“, to też staraj się także o to, by było za co! Głównie zaś pomyśl o tem, by było co kupić, choćbyś bowiem miał i cały worek koron, jeść ich nie będziesz!

Racya była po jej stronie, ja przecie nie chciałem ustąpić, co ją do takiej pasji doprowadziło, że najpierw zwymyślała kucharkę, potem córki, wkońcu mnie. Ale widocznie i tego było jej mało, oświadczyła bowiem, że, jeśli się stosunki nie poprawią, odbierze sobie życie...

— Będzie o jedną gębę mniej do żywienia — zakonkludowała. — Zostanie dla was więcej!..

Niema za co kupić, to pierwsze, niema gdzie i co, to drugie... Jest wprawdzie w magistracie tak zwany wydział aprowizacyjny, gdzie radzą głowy owłosione i tyse, więc o różnem doświadczeniu, ale działalność jego ogranicza się do minimum.



„Framos“ a Lwów.

Że rzetelny towar wyrabiany w kraju może liczyć na powodzenie wśród odbiorców — najlepszym tego dowodem jest następujący list, który otrzymałem z ukochanego Lwowa.

Lwów, d. 24 lipca 1915.

Wielmożny Panie!

Bardzo nam dał się odczuć brak tutek „Framos“, za którymi cały Lwów tęskni. Prosimy przeto nadać o ile możliwości jak najrychlej.

Z poważaniem J. Wyszatycki, ul. Nowy Świat 18.

Wobec tego oznajmiam, że we wszystkich miejscowościach z którymi komunikacja istnieje, tutki „Framos“, „Salvesol“, oraz bibułki „Pobudka“ nabywać można.

Kraków.

Mr. Wł. Bełdowski.